

Od autora: Zrobiłem coś strasznego i chciałem się tym z Wami podzielić.
Bądźcie szczerzy zarówno jako czytelnicy-twórcy, jak i ludzie.

„1109”

Wyobrażam sobie taką oto sytuację:

On nie bardzo rozumie, co mam na myśli. Widzę to.

– Hm... – powtarza stale, drapiąc się po niedogolonej brodzie. – A więc słyszysz, jak ktoś nad tobą przecacza kulę.

– Owszem – potwierdzam.

– Hm... to się dzieje na pierwszym piętrze?

– Wyżej.

– Czyli na drugim?

Kręcę przecząco głową, a on marszczy czoło.

– Na dachu? – pyta chwilę później.

– Znacznie wyżej, panie doktorze Zmyślony – odpowiadam.

Nie wiem, gdzie jesteśmy. Nie wiem tego ani ja, ani tym bardziej Pan A. stoimy jak kolki gdzieś na obrzeżach stacji. Obserwujemy tłum, w który za chwilę się włączymy. Dopóki jesteśmy razem pośród obcych, nic nam nie grozi. Tak przynajmniej sądzimy.

– Wiem, co sobie myślisz – mówię do towarzysza. – Nie mamy planu, forsy, ale za to nie brakuje nam szczęścia. Żebyś wiedział, że tak właśnie jest. Jasne, pamiętam, co mówiłeś. Czekaj, jak to szło...? Szczęście to ptak, który na jednych nasra, na drugich nie. Więcej optymizmu, Panie A. Chodźmy do centrum.

Pan A uważa, że w przybytkach takich jak ten, do którego zmierzaliśmy, nie trudno o guza, dlatego powinniśmy wyglądać na twardzieli. Niegdyś strojenie głupich min przed lustrem przychodziło mi bez trudu. Obecnie rzadko patrzyłem na swoje odbicie.

Dlaczego...?

Pewnego dnia zaczyna do ciebie docierać, że jedynym, co możesz ujrzeć po drugiej stronie, jest lęk. Tego nie odchorujesz za nic w świecie. Potem nic nie jest takie samo.

Odmierzam czas za pomocą butów. Najpierw jedna para balerinek, później damskie trampki, później męskie łaczki rozmiar czterdzieści sześć. Były również męskie trampki, półbuty damskie i szpilki. Pora szpilek nadeszła na końcu i przepełniła czarę goryczy.

Baleriny to czas beztroski. Coś jakby żart naszym kosztem. Niezbyt wyszukany, w gruncie rzeczy mało śmieszny, ale jednak żart. Trefniś dalej miał słodką minę i duże czarne oczy, które nie po raz pierwszy wypełnił strach.

Trampki damskie, no cóż, szkoda. Mniej śmiechu, za to więcej gniewu i, a jakże, strachu w tych samych czarnych oczach szukających azylu w zakanapowej przestrzeni. Potrzeba czasu, a przynajmniej tak sądziliśmy. Przecież wszystko się kiedyś ułoży.

Do szpilek niewiele się ułożyło, chyba, że stos butów poszarpanych swędzącymi zębami. W międzyczasie w koszu na śmieci wylądowały resztki po pilocie do telewizora, gąbka posiekana na miliony kawałków, kurczaczek wydziergany na szydełku, kwiaty, dokumenty i kilka innych rzeczy kłujących czarne jak kosmos oczy.

– Nie mogę cię zabrać – powiedział człowiek z wykalaczką w ustach. – Za duże ryzyko, a poza tym i tak nie masz forsy. Jeszcze sam, miałbyś jakąś szansę, ale z tym... – Mężczyzna wyciągnął z ust wykalaczkę i wskazał nią na Pana A.

Pan A był zły jak diabli, ale nie zareagował. Wiedział, że nieuprzejmość może tylko pogorszyć sytuację.

– To mój przyjaciel – powiedziałem. – Bez niego nie polecę.

– Z nim tym bardziej – odparł facet i odszedł od stolika, który zajęliśmy.

Spojrzeliliśmy na siebie z Panem A.

– Wiem, co myślisz – rzekłem. – Ludzie o marnej reputacji nie wiedzą, co to empatia.

Po chwili do stolika wrócił człowiek z wykalaczką w ustach i oznajmił:

– Wiem, kto wam może pomóc.

– Serio? – dociekałem.

– Jeden gość leci w tamtym kierunku. Jest tylko mały problem.

– Jaki?

– Nie wie, że was jest dwóch. Ale zgodzi się, pod warunkiem, że go przekonasz.

Zacząłem się rozglądać wokoło.

– Który to? – pytam.

– Grubas w zielonym kombinezonie – wyjaśnił mój rozmówca. – Idź, a ja przypilnuję twojego kumpla.

Nie byłem przekonany, ale Pan A uważał, że nie mamy wyjścia. Teraz albo nigdy.

Mały, wesoły drań. Szybki jak błyskawica, skory do zabawy w każdej chwili. Z zamiłowania śmieciarz. Amator taplania się w błocie, smakosz mięsa, warzyw, owoców, drewna czy tkanin. Znalaziono go na śmietniku razem z całą rodziną. Miał szczęście, że nie skończył jako danie główne na szcurzym stole. Dostał szansę, o jakiej inni nie zdołaliby pomarzyć.

Podobno przypelźł do mojej ukochanej jak wąż. Małe, przestraszone stworzenie czekające pośród innych podobnych sobie odtrąconych istot. Zbyt młode i zbyt przejęte, by cokolwiek zrozumieć. Chociaż nigdy tego nie widziałem na własne oczy, czułem, jakbym stał obok.

Było to całe balerinki, dwie pary trampek, laczki, półbuty i szpilki temu. Wówczas, gdy jeszcze mogłem patrzeć w lustro bez obawy.

Grubas w zielonym kombinezonie wyglądał jak reszta menażerii hochsztaplerów i cwaniaków, ludzi gotowych na wszystko, byleby tylko powąchać pieniędzy. Więcej patrzył, aniżeli mówił. Tacy trzymają pod czaszką kalkulator działający na pełnych obrotach dzień i noc. Dwa plus dwa nie zawsze jest cztery. Liczy się tylko zysk.

– Coś mi mówi, że nie śmierdzisz groszem, kolego – mówi grubas. – Wybierasz się w podróż, a nie masz nawet na bilet powrotny. Prawda?

– Nie zamierzam wracać – odpowiadam.

– Twoja sprawa. No dobra, gdzie się wybierasz?

Waham się czy powiedzieć prawdę, ale od tego gościa zależy wszystko. W końcu, po chwili ciszy oznajmiam:

– Ukuthula.

Świńskie oczka błyszczą jakby mocniej. Śmieją się do mnie. Ze mnie. Zaraz potem nadęte wargi wypowiadają te oto słowa:

– Pozwól, chłopcze, że zdradzę ci sekret. Ukuthula nie istnieje. Podróżuję od dawna i jeszcze tam nie dotarłem.

– To nic nie znaczy.

– Może dla ciebie. A zresztą, zrobisz, co uznasz za słuszne. Bądź za pół godziny przy bramie wylotowej.

Byłem tak podekscytowany, że nawet nie zdążyłem podziękować.

Kiedy powróciłem do stolika nie było ani faceta z wykalaczką w ustach, ani Pana A. Na krześle znalazłem tylko czerwoną obrożę.

Sześć par butów to szmat czasu. Wystarczy, żeby pokochać lub/i znienawidzić. To jednak za mało, aby trwale zapomnieć. Chcesz czy nie, przeszłość robi swoje, a wtedy lepiej, żebyś miał dobrą wymówkę; dla siebie, bliskich, dzieciaków z sąsiedztwa, znajomych z pracy. Dla wszystkich tych, którzy będą pytać. Chcesz czy nie przeszłość ryje dłutem w naszej pamięci wieczne historie. Nigdy nie masz pewności, co z tego wyjdzie, jaki będzie ostateczny kształt i czy przypadkiem po drodze czegoś nie sknociłeś. Z tobą czy bez ciebie przeszłość i tak chwyci za rylce i wypełni przestrzeń. W tym sensie jestem tylko bryłą gotową do obróbki.

Zawsze mogło być gorzej, myślisz. Są przecież na tym świecie kataklizmy, klęski żywiołowe, choroby, wymodlone kary, nieszczęścia zasądzone przez Bogów. Nigdy nie jest tak źle, jak mogłoby być. To jednak słabe pocieszenie. Nawet najcięższa susza a Afryce, oglądana z pozycji fotela ustawionego przed telewizorem, nie jest tak straszna jak bliskie spotkania i rozstania.

Sześć par butów do szmat czasu.

Ciemność. Panuje taki mrok, że gdyby nie wszystko, co widziałem do tej pory, nie uwierzyłbym w istnienie czegokolwiek. Tak musi wyglądać przedśmierć. Utknąłem gdzieś pomiędzy życiem, a ostatecznym końcem. Sam już nie wiem czy bardziej jestem straceńcem czy zagubionym rozbitkiem. Czas przestał płynąć.

Słońce, chciałbym je ujrzeć jeszcze raz. Wciąż pamiętam kolor trawy, jej zapach. Oczyma wyobraźni obserwuję, jak drży pod wpływem wiatru. Strzęp kropelki wody po deszczu. Czuję pod stopami, jak szeleści. Widzę kukurydziane pole i Pana A pogryzającego uschniętą kolbę.

– Gdzie jesteś, Panie A? – pytam.

Odpowiada mi cisza.

Dzień, miesiąc, a może rok później z letargu budzi mnie hałas. Zupełnie, jakby z otchłani nadciągał kataklizm. Drzę, bo wszystko dookoła drży. Czuję, że w ułamku sekundy doświadczę zderzenia z czymś potężnym. Może ze statkiem kosmicznym, meteorytem albo jedną z tych gigantycznych bestii o nieznanym pochodzeniu.

– Śmiało – mamroczę pod nosem i myślę sobie, że nic gorszego od śmierci mnie nie czeka. To, co kryje się w mroku, może mieć pazury, kły, kolce, może ziać ogniem albo pluć jadem. Jestem gotów na pogrom.

Jednak nic z tego. Zamiast śmiertelnego ciosu dostaję po oczach światłem. Głowa eksploduje mi na milion kawałków. Chowam twarz w dłoniach i zgięty w pół oczekuję, co dalej. Krzyczę niczym żywcem obdzierany ze skóry. Milknę dopiero, gdy do mych uszu dociera cudzy głos.

– Powstań! – Słyszę.

Ostatniego dnia siedziałem na krześle wpatrzony w duże czarne oczy. Westchnął jak zawsze, gdy miał zostać sam. Wiedziałem, że za kilka godzin przejdziemy do historii. Mimo to wiązałem jak zawsze buty, chowałem do torby drugie śniadanie, wyłączyłem telewizor. Byłem biernym obserwatorem tragicznych wydarzeń, które miały odmienić moje życie już pewnie na zawsze. Susza w Afryce, trzęsienie ziemi w Italii, kryzys ekonomiczny na całym świecie i mój osobisty dramat. Moje własne piekło, na które miałem właśnie zasłużyć. Zdarzają się przecież gorsze rzeczy, myślę sobie nie po raz ostatni.

Znacie to uczucie, kiedy najzabawniejszy człowiek na świecie traci grunt pod nogami? Gdy na przykład onkolog oznajmia niezbyt wesołą nowinę, albo dzielnicowy przez telefon mówi coś o wypadku na drodze. Każdy skatalogowany śmiech pęka niczym mydlana bańka, idee filozofii rozbawiania ludzi brzmią mniej wiarygodnie niż wymówka w stylu „boli mnie głowa”. Susza w Afryce jest dalej newsem emitowanym

wanym w telewizji. Rylec zaczyna pracować.

Najpierw słyszysz pojedyncze stuknięcia. Brzmia niegroźnie, jak wbijanie gwoźdźcia w metal. Myślisz, że zdarzają się gorsze rzeczy, choćby trzęsienie ziemi albo susza. Przypomina ci się kawał.

– Podobno w Afryce rząd upadł.

– Dlaczego?

– Bo się gałąź złamała.

Wszystko jest dziełem przypadku albo umyślnego działania sił nadprzyrodzonych. Susze, złamane gałęzie, osobiste tragedie. Nic nie zależy od ciebie, bo przecież tak miało być. Bogowie tak chcieli. Ci panujący nad światem obecnie i ci, którzy jakimś cudem przestali istnieć. Nic nie zależy od nas. Chcemy żeby tak było.

We wszechświecie jesteśmy nikim, bo tego pragniemy.

Oni nie są ludźmi. W niczym ich/nas nie przypominają. I nawet głos, którym przemawiają, choć zbliżony do ludzkiego, musi być efektem pracy urządzenia przetwarzającego komendy pisane na mowę.

Kształtem przywodzą na myśl kulki łożyskowe, tyle że większe. Niektóre osobniki są naprawdę potężne. Zapewne w tym świecie najwięksi znaczą najwięcej.

– Powstań! – słyszę po raz kolejny.

Oczy przywykły do ostrego światła, inaczej nie mógłbym przyjrzeć się tym, którzy, jak sądzę, pojмали mnie.

Jestem w centrum uwagi. Słyszę, jak kule kołysz się z lewej na prawą. Po chwili pada pytanie, które nie pozostawia złudzeń co do obecnej sytuacji.

– Dokąd uciekasz?

– Nie uciekam – wypieram się natychmiast, czym doprowadzam do poruszenia kuliste audytorium.

– Kłamca! – brzmi oskarżycielski głos. Tu, gdzie stoję, niesie go echo.

W pewnym momencie, nie wiem skąd, dolatuje mnie szept: Ukuthula. Czy oni też to słyszeli...? Czy oni wiedzą więcej, niż powinni...?

Pragnę, aby to był tylko zły sen albo seans hipnotyczny. Niech ktoś policzy do trzech i pstryknie palcami. Raz, dwa...

– Masz na imię Q – stwierdza głos. – Jesteś kłamcą.

Kule przetaczają się na lewo i prawo.

– Jak długo zamierzacie mnie tutaj trzymać? – pytam. Próbuję udawać twardziela, ale za żadne skarby nie potrafię opanować drżenia w głosie.

Ze strony kul pada kolejne pytanie:

– Co znaczy „jak długo”?

– Czas – odpowiadam. – Chodzi o czas. Dzień, tydzień, rok?

W okrągłym audytorium zapanowało istne poruszenie. Niektóre z osobników zderzały się ze sobą, inne zaś kołysały z tyłu naprzód.

– Czas! – wybrzmiał donośny głos. – Rozejrzyj się dokoła. Co widzisz?

Wszędzie czerń, jak okiem sięgnąć. Tylko obserwatorzy, których miałem nad głową, urozmaicali mroczny krajobraz.

– Nic nie widzę – oświadczyłem.

– Spójrz dobrze.

– Tu nic nie ma – odparłem.

– Nic...?

I znowu echo w oddali niosące: nic... nic... nic...

Czas leczy rany. Zawsze mogło być gorzej. Nie jesteś złym człowiekiem. Tak będzie lepiej. Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Miarą człowieczeństwa jest to, jak traktujemy mniejszych od siebie. Trudno mieć na wszystko wpływ. W Afryce upadł rząd. Jutro możemy być szczęśliwi.

Mama, tata, dziecko, domek, pies. Nauczmy go różnych sztuczek. Wreszcie nie będziemy marnowali jedzenia. Dzieciak powinien mieć psa, to go nauczy dyscypliny i odpowiedzialności. My się trochę rozerwiemy. Wszystkich nie uratujemy, ale przynajmniej jednemu damy prawdziwy dom. Bóg nas za to pokocha tak samo, jak myśmy pokochali tego małego skurczybyka. Bóg nam tego nie zapomni.

Ten ma słodkie oczka i mały jest jak kuleczka, a tamten wygląda jak miś. Spójrz tylko, każdy ma przypisany numer. Ja bym chciała takiego, a ja takiego, a ja takiego.

A ja bym w ogóle nie chciał.

Dlaczego?

Bo wiem, co znaczy stracić przyjaciela. Bo ja wiem, że to, co w jednej chwili przepełnia radością, w drugiej zalewa rozpaczą. Bo ja wiem, że ratuję jedno, nie ratując reszty. Bo ja jestem głupim idealistą, zbyt wrażliwym na otwartość. Bo we mnie siedzi smutek, który skrywam latami. Bo we mnie trwa ciemność i lepiej jej nie prowokować.

Mimo wszystko klękam i wyciągam ręce. Głaszczę, drapię. Bo ja wiem, że on należy do mnie, a ja do niego. I nic tego nie zmieni. Nawet kilka par pierdolonych butów. Bóg mi tego nie zapomni.

Czerwona obroża ląduje tuż pod moimi nogami. Oni wiedzą o wiele, wiele więcej niż sądziłem. Niechże ktoś policzy do trzech i pstryknie palcami.

– *Kim jest Pan A? – pada pytanie.*

Kule cichną. Zaczynam rozumieć, że przesłuchanie wkracza w decydującą fazę.

– *To przyjaciel – odpowiadam.*

– *Co znaczy „przyjaciel”?*

– *Inaczej mówiąc ktoś bardzo bliski naszemu sercu.*

– *Przyjaciel jest ważny?*

– *Bardzo.*

– *Dlaczego?*

– *Nikt nie chce iść samotnie przez życie. Co by się nie działo, przyjaciel zostaje na dobre i złe.*

– *Czy każdy ma swojego przyjaciela?*

– *Większość na pewno tego pragnie. Skąd wiecie o Panu A?*

– *Powiedziałeś nam.*

Już miałem się wyprzeć, ale zanim to zrobiłem, pomyślałem dobrze. Byłem pewien, że nie wypowiedziałem na głos imienia A. Może wyszeptalem je przez sen, a może...

– *Tak – brzmi głos. – Potrafimy rozszyfrować twoje myśli. Ukuthula. To tam zmierzasz.*

– *Dlaczego w takim razie ciągniecie mnie za język? – pytam coraz bardziej rozdrażniony. – Dlaczego mnie męczycie? Przecież wszystko wiecie.*

– *Nie chodzi o nas, przyjacielu.*

Jakiś czas później słyszę je nad głową. Toczą się dniem i nocą. Wiem, że to dzieje się naprawdę. Mimo wszystko mam nadzieję, że ktoś policzy do trzech i pstryknie palcami. Podróż z rzeczywistości do fikcji nie zawsze kończy się powrotem. Istnieję tylko częściowo naprawdę. Reszta pozostaje wyobrażeniem.

Ta część mnie, która zapuściła korzenie w ziemi, pragnie zobaczyć coś więcej. Przeglądam więc zdjęcia. Patrzę. Są. Wszystkie, których nie zdołałem uratować i skrzywdzić. Małe oczka, wystraszone. Przejęte własnym losem. Jak album rodzinny albo dziennik psychopaty. Każda mordka ma swoją historię. Każda historia zaś posiada swój numer.

Patrzę. Jest i on. 1109. Zdjęcie wykonano w pośpiechu. Nawet nie zdążył popatrzeć w obiektyw. Wyszła klasyczna fotografia profilowa. Mały drań nie wyglądał na przejętego. Założę się, że interesowało go wszystko dookoła. Nie wiem na pewno. Byłem wówczas gdzie indziej. Gdzieś pomiędzy fikcją, a wyobrażeniem o sobie, o człowieku, którym już nigdy nie zostanę. Krążyłem byle najdalej od prawdy.

Jedenaście zero dziewięć – tyle mam w głowie. Mój duch ulatuje z ciała, wzbija się aż pod sufit. Obserwuje worek kości i bebeczków obciążony skórą. Turpiści są zachwyceni, egzystencjaliści także, a ja? Nic już nie chcę. Próbuję tylko wymościć sobie gniazdo w skórzanym skafandrze. Zostało ze mnie niewiele więcej niż z trupa dogorywającego pod ziemią. A przecież jeszcze nie umarłem. Niestety.

Jedenaście zero dziewięć – dźwięk tłuczonego szkła. W lustrzanym odbiciu dostrzegam twarz potwora. Najdoskonalszy portret zdrajcy, jaki stworzyłem. Czasem, gdy czułem się źle, pragnąłem malować. Byłem jednak beznadziejnym rzemieślnikiem i jeszcze gorszym artystą. Mimo to stworzyłem dzieło sztuki. Leonardo? Pierdol się, bo nigdy mi nie dorównasz. Vincent? Choćbyś uciął sobie drugie ucho i wydłubał oboje oczu i tak pozostaniesz miernotą.

Stworzyłem się sam. Tak jak ciemność, która spowiła krajobraz dookoła. Patrzę w nadziei, że kiedyś jeszcze wszystko się ułoży. Patrzę mocniej, bardziej, uważniej. Patrzę tak, że bolą mnie oczy. Wciąż nie ma nic prócz ciemności.

– Panie doktorze Zmyślony? – pytam.

On nadal nic nie rozumie. Widzę to.

– Hm...

– Dlaczego tak wielu ludzi boi się ciemności?

– Największy lęk wywołuje to, czego nie widzimy. To, czego nie znamy. Mrok może przybrać każdy kształt.

– To chyba mnie przerasta.

– Hm... Jest tylko jeden ratunek.

– Słucham.

– Ukuthula.

– Czyli?

– Spokój.

Chciałbym umrzeć i narodzić się na nowo.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 03.05.2018 19:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.